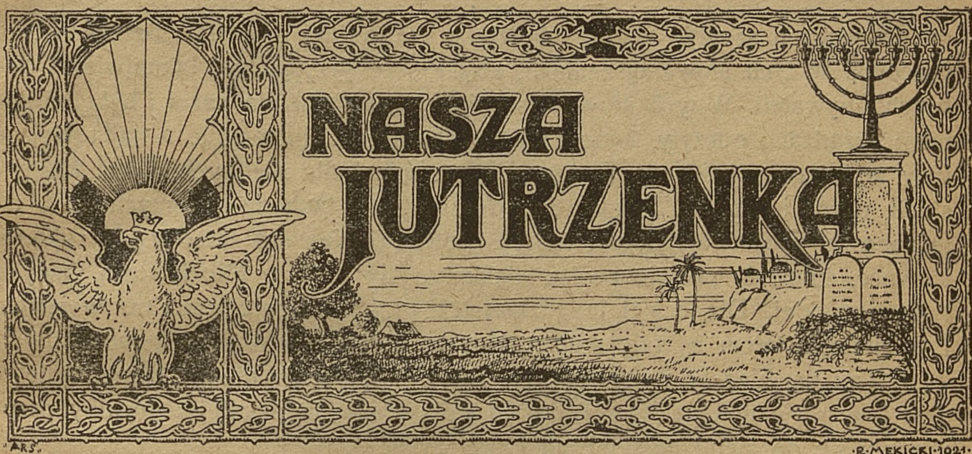
Rok IV. Lwów, kwiecień 1924. Nr. 2.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Dr. ELEAZAR BYK

Drogie moje dzieci!

Czy przypominacie sobie Waszego stryja, który takie serdeczne listy pisywał do Was?

Otóż wiedzcie o tem drogie moje dzieci, że Wasz stryj, dr. Eleazar Byk umarł, a stało się to jeszcze 18 stycznia b. r., a więc przed blisko trzema miesiącami. Zmogła go choroba serca i śmierć przyszła nagle, jak to często bywa w takich chorobach.

Wiem, że zasmuci Was ta wiadomość, lecz polecono mi, aby Wam o tem donieść.

I mnie także bardzo boleśnie dotknęła śmierć dr. Eleazara Byka. Straciłam w nim dobrego kolegę redakcyjnego i przyjaciela. Pocieszmy się jednak, bo została po nim pamięć piękna, a jego nazwisko w długie jeszcze czasy żyć będzie wśród ludzi i stanie się symbolem szlachetnego Żyda-Polaka.

Dr. Eleazar Byk już jako młody chłopiec przygotowywał się do służenia Polsce. Wyrósł wśród prawowiernych żydów i bardzo był przywiązany do wiary ojców swoich. To mu jednak nie przeszkadzało czuć się równocześnie wiernym i dobrym Polakiem, który kocha tę ziemię, na której żył, gdzie się kształcił i gdzie miał pracować. Uważał Polskę za swoją ojczyznę i pragnął całą duszą, aby wszyscy żydzi, zamieszkujący ziemie polskie, również widzieli w Polsce swój kraj ojczysty. A te pragnienia umiał dr. Eleazar Byk zamieniać w czyn. Zakładał stowarzyszenia i wspólnie z gromadką ludzi jak

on pragnących szerzyć wśród młodzieży żydowskiej przywiązanie do Polski, pracował w tych stowarzyszeniach, aby Polsce przysporzyć jaknajwięcej dobrych obywateli. W tych stowarzyszeniach była czytelnia gazet i była biblioteka; urządzano odczyty, koncerty i przedstawienia amatorskie. A najładniejsze były te zabawy, które dr. Eleazar Byk urządzał dla biednych dzieci żydowskich, ucząc je kochać Polskę całą duszą. Setki tych dzieci przychodziło na tę zabawę. Dostawały podwieczorek, potem rozdawano między nie cukierki i owoce, śpiewały polskię pieśni, deklamowały wiersze Mickiewicza, Asnyka i Konopnickiej. Dla dzieci urządzano też przedstawienia teatralne w jesieni i w zimie, a latem bywały wycieczki z zabawami na wolnem powietrzu.

Tak dr. Eleazar Byk troszczył się o zaniedbane biedne dzieci żydowskie i uczył je miłować wszystko, co Polska ma najpiękniejszego, aby przywiązały się do ziemi polskiej, na której żyją.

Mozolił się i trudził przez całe życie dr. Eleazar Byk, ale też miał tę pociechę, że praca jego nie idzie na marne. Ile razy przychodziły złe czasy, (a właśnie ta wojna światowa zniszczyła niejedną placówkę, na której pracował dr. Byk) on zwracał się tam, gdzie nowe mógł zdobywać siły do dalszej, wytrwałej pracy.

Ogromnem ukochaniem otoczył też dr. Eleazar Byk tę Waszą gazetkę „Jutrzenkę", bo wierzył w to, że Wy, drogie dzieci, uczyć się będziecie z tych artykułów, wierszyków i powiastek Waszej gazetki, kochać Polskę całą duszą.

Często, bardzo często rozmawiał ze mną dr. Eleazar Byk o „Jutrzence" i o Was, drogie moje dzieci. Liczył na Was i wierzył w to, że kiedy dorośniecie, każde z Was pracować będzie nad tem, aby służyć Polsce jaknajlepiej, nie zrażając się żadnemi przeciwnościami.

I wierzcie mi drogie dzieci! Kto Polskę kocha całą duszą i wiernie jej służy, będzie zawsze uważany za najlepszego obywatela polskiego i nikt mu tego nie wypomni, że jest żydem. Religia jest rzeczą sumienia. Nie powinno się wyrzekać wiary przodków. Tego Polska od żydów nie żąda. Ale trzeba umieć połączyć zgodnie te dwa umiłowania: wiary ojców i miłości ziemi, na której się żyje.

Dr. Eleazar Byk tak żył według tego wskazania i zdobył też miano najszlachetniejszego Żyda-Polaka. Czczą jego pamięć zarówno żydzi jak i chrześcijanie, wszyscy obywatele Polski bez różnicy wyznania.

Niechże pamięć dr. Eleazara Byka żyje ciągle w pośród Was drogie moje dzieci. Niechże on będzie dla Was przykładem, jak żyć należy dla Polski.

Aniela Kallas.



Bł. p. Dr. ELEAZAR BYK
ur. 7. czerwca 1881, umarł 18 stycznia 1924.

SEJM.

Pewnej pięknej niedzieli, ma się rozumieć wtedy, gdy nie było posiedzeń sejmowych, kierowniczka internatu dla sierot w Warszawie kazała starszym dzieciom stanąć parami i zaprowadziła je do Sejmu.

Była to uroczysta chwila, gdy wejść mieli. Tuż przed gmachem stanęła pierwsza para, niepewna, czy może minąć wartę.

Bo czy wejść można, czy wejść wypada,
Czy warta naszym też będzie rada?
Czy o przepustkę nikt się nie spyta
I jak gmach Sejmu młódź tę powita?

Tam gdzie się radzi i rządzi krajem.
Przyjmować dzieci nie jest zwyczajem,
Tam tylko wejście miewa starszyzna.
Bo ich do wnętrza wzywa Ojczyzna!

Stoją przed gmachem, patrzą przed siebie,
Może znak jaki ujrzą na niebie,
Może ktoś z warty słowo wypowie
I czy wejść można dziecko się dowie!

Wtem patrzcie!

Z gmachu wychodzi jakiś poseł: idzie ku gościom. Już zdala powiewa do nich chustką, a gdy się zbliżył, każdemu podaje rękę na powitanie i wszystkich zaprasza.

Wchodzą.

Wewnątrz gmachu jest ogromna hala z drzwiami na prawo, a z drzwiami i schodami na lewo. Wprost przed sobą mają długi, ogromnie długi korytarz, a hen u jego krańca jest znowu hala i są sale.

Na prawo i lewo od korytarza są drzwi, moc drzwi! Poseł oprowadza wszędzie. Widzieli lokal klubu, do którego on należy, byli w rozmównicy, zwiedzili wszystkie rozgałęzienia gmachu, olbrzymią halę z ławkami, w której posłowie wypoczywają, pocztę, sale restauracyjne a wkońcu salę obrad.

Do sali obrad weszli wszyscy w milczeniu. Było cicho, tak bardzo cicho, że omal dało się słyszeć tętno ich serc i ich ciche oddechy.

— Tutaj, tutaj... — mówił Bronek do Julka i nie mógł dokończyć.

— Tutaj się rządzi krajem — podchwyciła myśl jego Brońcia i zdjęła kapelusz na znak wielkiego uszanowania, chociaż nie była chłopcem.

Brońcia odczuwa rzecz całkiem nową,
Chce słuchać posła z odkrytą głową,
Chce mu szacunek wielki wyjawić,
Miłe wspomnienie tu pozostawić.

I tak, jak fala dąży za falą,
Poszła za Brońcią Zosia wraz z Malą,
A inne także przykład z nich wzięły
I patrzcie, wszystkie czapeczki zdjęły!

Stoją cicho, w zbitej gromadzie, oni malcy w olbrzymiej sali obrad. Stoją wśród ustawionych szeregami foteli, a poseł pokazuje im, gdzie siedzą stronnictwa.

W głębi na podwyższeniu stoi ogromny fotel, a o ten fotel jest oparta buława ze złoconą rękojeścią.

To jest miejsce marszałka.

Przed nim siedzą urzędnicy, a całkiem nisko jest stolik dla stenografów. Na prawo i lewo stoją także rzędami fotele. Z jednej strony zasiadają ministrowie, z drugiej ich zastępcy.

Ogólną uwagę dzieci zwróciła mownica.

Tyłem zwrócona do marszałka i urzędników, przodem ku sali stała poważnie i skromnie.

Poseł, który dziś tak gościnnie podejmował tu dzieci, usadowił je na miejscach poselskich, wstąpił na mownicę i począł opowiadać jak to Sejm powstał, dlaczego powstać musiał i kto może być posłem. Mówił dzieciom

że gdy dorosną i będą przez ogół bardzo lubiane, będą się mogli też dać obrać posłami.

Bronek się skrzywił.

— To nie jest zawód — powiedział. On chce być mechanikiem i chce, by go od jego pracy nie odwoływano.

— Tak, posłowanie nie jest zawodem, posłowanie jest czemś wyższem i czemś wznioślejszem, jest posłannictwem i nie każdy do tego dorósł — powiedziała dzieciom ich pani.

Tymczasem poseł skończył swoje opowiadanie o tem jak powstał Sejm i jak się posłów na Sejm obiera i wskazał ręką olbrzymi napis w głębi sali.

„Salus reipublicae suprema lex.“

— Co to znaczy?

A to znaczyło:

„Dobro republiki jest pierwszem prawem.“

Dzieci stanęły oniemiałe. Serdeczny, a jednak bardzo poważny nastrój, pogłębiła myśl o państwie nowopowstałem do samodzielnego życia.

Każdy wgłębił się w siebie, każdy szukał w sobie bodaj małej iskierki tego uczucia, które musi mieć obywatel, aby z tej małej iskry rozdmuchać zarzewie.

Milczenie przerwał poseł.

— Urządzimy głosowanie przez drzwi — powiedział i wyprowadził dzieci z sali.

Zbitą gromadą stanęli znowu przed wejściem do sali obrad. Drzwi było dwoje, tuż obok siebie. Na jednych był napis „tak“, na drugich „nie“.

— Czasem urządza się głosowanie przez powstanie z ławek — mówił poseł, czasem zaś wszyscy wychodzą ze sali kolejno, wchodzą drzwiami „tak“ lub „nie“, a kontrola ich liczy. Większość zwycięża.

Drzwi były szklane. Nic łatwiejszego jak prowadzić kontrolę. Przy drzwiach „tak“ stanęła Brońcia, przy drzwiach „nie“ — Julek.

— Będziemy teraz głosowali, czy pójść do ogrodu, czy nie — powiedział poseł.

Naturalnie, że „tak“ zwyciężyło.

Poszli. W ogrodzie były miejsca równe, były pagórki i maleńkie doliny. Obiegli wszystkie drogi, zeszli nawet do sadu. Bawili się wyśmienicie, wolno im było wchodzić na trawę, wolno było skakać i śpiewać.

Nagle z za skrętu nadszedł jakiś pan wysoki i barczysty. Przystanął na chwilę, uśmiechnął się do posła i do dzieci, a potem zbliżył się do Adelci Furtkiewiczówny, skromnie stojącej na uboczu, podał jej rękę i przedstawił się jej.

— Kto to?

— Czy to poseł, czy to może ogrodnik?

To był minister!

— Minister przedstawił slę Adelci!

Dzieci stanęły zdziwione. Adelcia urosła nagle w ich oczach, ją zaś rozpierała duma Spotkała ją wielka, wielka radość, niech jej wszyscy zazdroszczą!

Fr. Lazarusówna.

Powstanie z czasów Tadeusza Kościuszki.

Ilekroć przychodzi u nas wiosna, budzą się z nią ludzie i przyroda do nowego życia. I nowe nadzieje ożywiają dusze i podnoszą serca ludzkie. To też nie dziw, że często wielkie wypadki w dziejach naszego narodu przypadają właśnie na czas wiosenny.



A choć wielkie, szlachetne porywy nie zawsze osiągały natychmiast cel zamierzony, to jednak ich rezultaty, choć długo niekiedy dawały na siebie czekać, hojnie wynagradzały przyszłym pokoleniom poniesioną przez Ojców ofiarę.

A jedną z takich wielkich właśnie ofiar Narodu było powstanie Kościuszki w roku 1794. Widząc, jak wrogie państwa, Rosja, Prusy i Austrja rozrywają między siebie naszą Ojczyznę, tak, że już tylko niewiele ziemi w niej zostało, poprzysiągł Kościuszko dnia 23 marca 1794 r. na rynku w Krakowie walkę z wrogami w obronie wolności i niepodległości Ojczyzny. Tak przyszło do pierwszego powstania Narodu Polskiego przeciw ciemięzcom i zaborcom. Już w dziesięć dni później, bo dnia 4 kwietnia odniósł Kościuszko świetne zwycięstwo nad Moskalami pod Racławicami. A zwycięstwo to jest tem ważniejsze, że odniósł je Kościuszko przy współdziałaniu włościan, których On wtedy poraz pierwszy powołał do służby ofiarnej dla Ojczyzny. Wykonał w ten sposób wielką myśl polityczną, jaką rzuciła już była wiekopomna konstytucja 3. maja w. r. 1791, uznając, że obywatelem Państwa jest nie tylko, — jak to było do owego czasu — szlachcic, ale także mieszczanin i włościanin, który na równi ze szlachtą ponosić winni obowiązki wobec Ojczyzny, ale też na równi z nią przypuścić ich należy do korzystania z praw.

W tem też leży wielka zasługa Kościuszki wobec Narodu i jego znaczenie dla dziejów naszych. I dlatego słuszną jest rzeczą, że miesiąc kwiecień poświęcamy uroczystościom na cześć Kościuszki, pierwszego Naczelnika Narodu Polskiego.

ANDREÉ LICHTENBERGER.

Piotruś i Marynia.

Na dworze mroźno. W rogu kominka siedzi babunia w swoim fotelu, z robotą trykotową opuszczoną na kolana. U nóg jej na małym stołeczku Marynia obrębia starannie ścierkę. Przy oknie Piotruś z powichrzoną czupryną, z palcami zawalanemi atramentem ziewa i coś mamroce nad książką.

Ale oto powoli zapada mrok.

Piotruś zaczyna mruczeć, że „ciemno, nic nie widać". Przytem przeciąga się i nagle odsuwa krzesło z takim hałasem, że babunia, która drzemała prawdopodobnie — wzdrygnęła się, wydając jednocześnie jęk bólu „Aj".

Piotruś zapytuje zdziwiony swoim poczciwym grubym głosem:

— Co ci to babuniu?

— To nic — zwykły ból reumatyczny przy poruszeniu.

Wiele dzieci w wieku Piotrusia nie zwróciłoby uwagi na ten szczegół. Gdy się jest ośmioletnim zdrowym chłopcem, wszelkie reumatyzmy i inne objawy starości wydają się dziwne i dalekie. Ale Piotruś jest dobry, jest szlachetny — dowiedzie tego.

Wsadziwszy ręce w kieszenie staje przed babunią i głosem stanowczym oświadcza jej, co zrobi.

Gdy będzie już duży — sprowadzi najsławniejszych doktorów i nakaże im, aby wyleczyli babunię. Zapłaci im wiele zechcą, ale będą musieli wyleczyć ją natychmiast. W przeciwnym razie, biada im!

Babunia zapominając o chwilowym bolu uśmiechnęła się i podziękowała wnuczkowi. Tymczasem czuje, że poza nią — między zbolałe jej plecy, a oparcie fotelu coś się wsuwa. To poduszka, miękka, przytulna, dostosowana do potrzeby. Marynia, odłożywszy robotę przyniosła ją cichutko, bez hałasu, i wsunęła delikatnie, tak jak widywała często, że to czyni jej matka.

— Dzięki Ci kochaneczko.

Marynia uradowana składa pocałunek na pomarszczonej ręce.

— O babuniu! jakaś Ty zziębnięta!

Naturalnie! Piotruś wzrusza ramionami, nastroiwszy odpowiednią minę. Naturalnie! Nieraz to już mówił, że takie siedzenie w zimie, w kraju, gdzie panują mrozy i śniegi dobre jest dla ludzi ruchliwych, młodych, którzy mogą biegać i skakać. Ale dla takiej biednej babuni, która prawie, że nie może ze swego fotelu — to wcale nic nie warte! To też — jak tylko już będzie duży, (może babunia zawczasu już przygotować kufry) natychmiast zawiezie ją i umieści w jednej z pięknych willi, którą dla niej wybierze nad brzegiem morza Śródziemnego, tam gdzie niebo jest zawsze błękitne, a słońce

promieniujące. To już postanowione. „Wreszcie — to już dawno powinno było być zrobione", mówi rezolutnie Piotruś, tupiąc nóżką o podłogę.

Tymczasem babuni na szczęście jest już trochę lepiej.

Marynia okryła jej plecy dużą chustką, uklęknąwszy przed ogniskiem zgarnęła rozżarzone węgle i niedopalone głównie, dorzuciła polano drzewa i dwa kawałki węgla. Buchnął jasny płomień. Babunia wyciąga ku niemu swoje białe ręce i szepce wesoło.

— Jak tylko Ernestynka powróci, poproszę ją o filiżankę herbaty, a wówczas będzie mi prawie tak ciepło jak w Monaco lub Mentonie. Na to komendant-Piotruś znowu gniewnie potrząsa główką. Czyż Ernestynka nie powinna być tutaj? Jakże ona śmie wychodzić wówczas właśnie, gdy ją potrzebują? I to się codzień powtarza!

No — gdy Piotruś dorośnie i będzie panem, to takich rzeczy nie będzie tolerował. Będzie miał mnóstwo służących. Będzie dla nich bardzo dobry, sprawiedliwy, będzie im płacił ogromne zasługi, ale będą musieli chodzić na palcach, a z oczów zgadywać życzenia — a nie — to fora ze dwora. I codzień punktualnie o czwartej godzinie, przyniosą babuni na srebrnej tacy: herbatę, czekoladę, maślane bułeczki, placuszki, sucharki i ciasta z kremem. Tak... Dziś wprawdzie babunia nie będzie miała tyle przysmaków, nie będzie potrzebowała czekać na powrót Ernestynki, aby się napić gorącej herbaty. Bo oto przez ten czas gdy Piotruś opowiadał i wywodził swoje zamiary — Marynia — skrzętna i cicha. Marynia nastawiła imbryk pełen wody, a na stoliczku stojącym przy babuni, przygotowała: filiżankę, spodeczek, postawiła cukierniczkę, garnuszek śmietanki, imbryczek i puszkę z herbatą. A wszystko czyniła ostrożnie, żeby czegoś nie potrącić lub nie przewrócić.

Doskonale! Piotruś — wzrokiem pobłażliwym śledzi to krzątanie się siostrzyczki i zachęca ją to słowem to gestem. Trzeba umieć być użytecznym — każdy według swych sił i możności. Nagle jednak mały obserwator, uśmiecha się ironicznie, marszcząc brewki. O czem też myśli ta Marynia? Nie podała łyżeczki, zapominalska! Marynia rumieni się ze wstydu i już chce pospieszyć...

— Nie, nie potrzeba — niech pilnuje wody, która wnet zakipi. Po łyżeczkę Piotruś sam pójdzie — czy rozumiecie — on sam, żeby naprawić zapomnienie siostry. Z miną uroczystą, uprzejmą, krokiem pewnym przechodzi salę jadalną, otwiera szufladę, grzebie chwilę w koszyku ze srebrem i wraca do babuni.

— Oto jest.

Teraz już dzięki niemu babunia będzie mogła napić się herbaty. Lecz gdyby jego tu nie było — musiałaby czekać — no! I z powagą, pobłażliwością i nie bez współczucia Piotruś tłumaczy bardzo strapionej Maryni, jak należy się zachowywać: jeżeli się coś robi — trzeba robić dobrze, dokładnie...

...Lecz w tej chwili właśnie, gdy przerwał swoją perorę dla zaczerpnięcia oddechu, daje się słyszeć słodki głos babuni.

— Maryniu, byłabyś bardzo grzeczna, gdybyś mi przyniosła łyżeczkę do herbaty, a ten widelec niepotrzebny mi zupełnie odniosła na swoje miejsce. I białą dłonią podaje Maryni przedmiot, który pan Piotruś w prędkości swej wyjął przed chwilą z szuflady i przyniósł babuni. Wyciągnął rączkę, jakby go chciał pochwycić...

Lecz babunia uprzejmie, lecz przecząco potrząsnęła głową.

— Lepiej już niech to załatwi Marynia i poczem spokojnym głosem dodaje:

— Ty mój Piotrusiu — dasz mi inną — całą ze złota... jak będziesz duży.

Robinzon Polski.

Pojawiła się nowa i dobra książka w księgarni. Nazywa się „Robinzon Polski", spolszczył ją Zygmunt Howerla, a ozdobił 30 rysunkami K. Fryc. Wydawnictwo „Wszechświat" dało ją wydrukować starannie na dobrym papierze.

Bardzo ciekawe są dzieje bohatera Janka Satorskiego z Ożarowa nad Wisłą. Widzimy go jako fryzjera, następnie jako rolnika, potem na okręcie. Był i w niewoli tureckiej, a następnie wsiadł na okręt, który kierował się w stronę Brazylji. Przebył bardzo dużo niebezpiecznych przygód i dopiero po latach wrócił do Ojczyzny.

Książkę czyta się z bardzo wielkiem zainteresowaniem.

Janek podoba nam się wielce, bo dzielnem postępowaniem swojem pokazał światu jakimi są chłopcy, wyrośli na ziemi polskiej.

JÓZEFA SIEBE.

Wrogowie.

W Siankach Górnych trzem chłopcom było na imię Wojtek. Byli oni mniej więcej w równym wieku, więc, by uniknąć nieporozumień przy wspólnych zabawach, dzieci nadały im przezwiska. Jednego nazwały grubym Wojtkiem, drugiego błękitnym a trzeciego sennym.

Gruby Wojtek właściwie niesłusznie nazywał się grubym, ale dzieci uważały, że Wojtek tyle je, że może kiedyś przytyć. Do pewnego stopnia miały słuszność. Gruby Wojtek był zawsze głodny i jadł chętnie o każdej porze dnia i nocy. Rano, zaledwie przetarł oczy, już mawiał:

— Dzisiaj jestem porządnie głodny!

Obiad jadł dopóty, dopóki jeszcze coś było w misce, a kwadrans po obiedzie dopominał się:

— Czuję taką pustkę w żołądku, proszę mi dać kromkę chleba!

Na szczęście ojciec Wojtka był zamożnym gospodarzem i w domu nie musiano liczyć się z każdym kęsem. Wojtek zaś był dobrym chłopakiem, uczył się pilnie i żył w zgodzie z kolegami z wyjątkiem swojego imiennika błękitnego Wojtka.

Matka błękitnego Wojtka chciała pewnego dnia ufarbować na niebiesko swoją szarą zimową chustkę. Ponieważ była córką farbiarza i znała to rzemiosło, postanowiła zrobić to sama.

Zosia, córka listonosza miała jej z miasta przywieść farby, kobieta napisała więc na kartce:

— ćwierć funta błękitnej farby, a pod tem:

— pięć kilogramów cukru, —

bo miała piec babki i ciastka. Zosia pomyliła się. Przywiozła pięć kilo farby i ćwierć funta cukru. Było tej farby tyle, że całe Sianki dałoby się nią pomalować.

Matka Wojtka bardzo się gniewała, ale to nic nie pomogło, kupiec nie chciał przyjąć towaru z powrotem i odtąd matka Wojtka farbowała na błękitno wszystko, co jej do rąk wpadło. Mąż jej, ona sama, dzieci, nawet parobcy i dziewki chodzili odtąd w niebieskich ubraniach. Chciała koniecznie zużyć farbę! Dlatego też dzieci przezwały Wojtka błękitnym Wojtkiem, a całą zagrodę jego ojca — błękitną zagrodą.

Trzeci Wojtek był ubogim sierotą. Gmina oddała go pod opiekę Bazylemu, który znany był ze skąpstwa i surowości. Nie było dobrze Wojtkowi w domu opiekuna, miał dużo pracy, gospodarz zrzędził na niego ustawicznie, bił go, a jeść mu dawał możliwie jak najmniej. Nikt się o niego nie troszczył. Chłopak stał się cichy i zamknięty w sobie. Nawet w szkole był osa-

motniony. Czasem pragnął pobawić się z innemi dziećmi, ale nie śmiał do nich przystąpić i nawet gdy go wołały do zabawy wymawiał się, bo się wstydził swoich łachmanów. Uczył się łatwo i chętnie, ale nigdy nie miał czasu porządnie odrobić zadań, dlatego uchodził w szkole za leniucha. Był tak przepracowany, tak przemęczony, że parę razy już usnął w szkole. Przezwano go też sennym. To było stosowne przezwisko, bo Wojtek naprawdę dużo marzył, nie we śnie lecz na jawie, w jasny dzień i z otwartemi oczyma. Jasne wesołe marzenia jak bajki snuły mu się po głowie i opromieniały mu życie. Zapomniał przy nich o swoim ciężkim losie.

Dzieci szkolne nie zajmowały się nim, a żaden z jego imienników się z nim nie przyjaźnił. Nie bawiono się z nim i nie sprzeczano, zostawiając go w spokoju. Tylko gruby Wojtek z błękitnym Wojtkiem nie mogli się zgodzić żadną miarą, choć nikt nie wiedział dlaczego. Oni sami też nie umieliby wyjaśnić, czemu znieść się nie mogli i żyli ze sobą jak pies z kotem. Gdy jeden śmiał się, drugi mruczał niezadowolony, a gdy mogli sobie psotę wypłatać, czynili to nader chętnie. Może dlatego się nie lubili, że ich zawsze razem wspominano i gniewało ich bardzo, że nauczyciel usadowił ich w jednej ławce.

Dzieci drażniły ich:

— Patrz grubasie! — wołały do Wojtka, kiedy zjadał śniadanie.

— O już idzie błękitny! — wtedy gruby tracił ochotę do jedzenia.

Raz gruby Wojtek usnął na czereśni. Antek zawołał błękitnego Wojtka i powiedział mu, że to Franek usnął na drzewie i że trzeba go sprowadzić na dół. Błękitny corychlej wdrapał się na drzewo i nie posiadał się ze złości, gdy zobaczył, że tam siedzi jego gruby imiennik. Gruby nagle zbudzony niespodzianą wizytą, krzyknął:

— Pójdziesz ty stąd? Marsz na dół!

A tamten odrzekł na złość:

— Ani mi się śni, to przecież nie twoje drzewo.

— Ale ja pierwszy się tu wdrapałem!

— To możesz także pierwszy zejść.

I siedli obaj na drzewie, naprzeciw siebie, przyczaili się, jak dwa kocury i żaden nie chciał pierwszy ustąpić.

Dzieci, zebrane pod drzewem, wołały na nich:

— Zejdźcie przecież!

— Zejdź gruby!

— Zejdź błękitny!

Wszystko nadaremnie i pewno po dziś dzień siedzieliby obydwaj na drzewie, gdyby się nie był odezwał dzwonek szkolny.

Na ten dźwięk strach ich przejął i teraz chcieli zejść razem, ale to się udać nie mogło: stracili równowagę i spadli z drzewa jak dojrzałe czereśnie.

Nic sobie nie zrobili, nie spóźnili się nawet do szkoły, ale tacy byli źli na siebie, jakby im się stała niewiedzieć jaka krzywda.

Niedaleko, mniej więcej o kwadrans drogi od Sianek leżał duży staw. Nad stawem stała mała chatka, w której mieszkało dwoje starców: mąż i żona. Piękną swoją posiadłość we wsi oddali synowi, a sami sprowadzili się do chatki nad stawem i wiedli spokojne i samotne życie. W zimie dzieci z Sianek Górnych przybiegały tu na ślizgawkę. W takie dnie stara gospodyni przystawiała do ognia garnek kawy i niejedno zmarznięte dziecko częstowała gorącym, rzeźwiącym napojem.

Pewnego niezbyt mroźnego dnia, dzieci ślizgały się znowu na stawie. Gruby Wojtek i błękitny Wojtek byli tam również.

Szewc Dratewka, przechodzący drogą od Sianek Dolnych, zawołał na dzieci:

— Uważajcie, lód nie jest jeszcze pewny!

— Ach utrzyma nas! — brzmiała odpowiedź ze stawu i dzieci tak śmiało posuwały się po nim we wszystkie strony, jak gdyby szewc był skierował swoją przestrogę nie do nich lecz do starej wierzby stojącej u brzegu. Zwłaszcza błękitny Wojtek, który był dobrym łyżwiarzem, pędził jak strzała po stawie. Gruby Wojtek nie ślizgał się tak dobrze i gniewało go to niemało.

— Patrzmy, który z nich pierwszy stanie przy wierzbie — zawołał Franek do dzieci.

Błękitny Wojtek pędził co sił, a gruby, ścigał go sapiąc:

— Nie pozwolę, by on pierwszy dobiegł — myślał sobie i zbierał siły. Ale błękitny Wojtek już dobiegł do wierzbiny, a równocześnie gruby Wojtek sięgnął ręką do nagich jej gałęzi.

Nagle rozległ się głuchy trzask.

— Lód się załamał! — zawołały przerażone dzieci, rozpierzchły się, jak stado gołębi przed jastrzębiem.

Trzask się powtórzył. Z krzykiem wyskoczyły dzieci na brzeg. Staw został jak wymieciony. Tylko dwóch Wojtków pozostało na nim, a raczej siedziało w nim pod wierzbą. W tem właśnie miejscu lód się załamał, a obydwaj chłopcy zanurzyli się po szyję w lodowatej wodzie. Nie mogli się ruszyć, mogli jednak krzyczeć. Wołali więc z całej siły o ratunek, podczas gdy towarzysze ich pobiegli przerażeni do pobliskiej chatki. Na szczęście starowina gospodarz i parobek byli w domu i obydwaj pobiegli coprędzej na miejsce wypadku. Udało im się wyciągnąć z wody zsiniałych od zimna chłopców i zanieśli ich pospiesznie do chaty, gdzie gosposia staruszka parzyła dla nich ziółka i grzała łóżko. Potem położono ich obu do wielkiego, drewnianego łóżka, które zajmowało pół izby i było ślicznie różnobarwnie pomalowane w ogniste gwiazdy i niebieskie wstęgi. Gospodyni podała chłopcom bzowe ziółka, poczem nakryła ich po szyję ogromną pierzyną.

— Dobrze wam tak? — spytała.

Wrogowie leżeli w piernatach obok siebie tak spokojnie, jak dwa bochenki chleba w piecu piekarskim. Wystawały tylko ich okrągłe, rozgrzane buzie. Tak byli okryci, że nie mogli się ruszyć, a gdy który z nich choć trochę się pokręcił, staruszka wołała zaraz:

— No no! nie wypuszczaj ciepła z łóżka. Zatrzymam was do jutra, cieszycie się, co?

— Hm — mruknęli tylko chłopcy, przyczem gruby Wojtek spojrzał na lewo, a niebieski na prawo.

— Porozmawiać wam wolno! gadajcie sobie — rzekła dobroduszna staruszka — przecie przyjemniej wam razem leżeć.

— Hm! — burknęli znowu chłopcy w odpowiedzi, spoglądając na sufit. Stara pokręciła głową:

— Cóż to? Czy nie umiecie mówić?

— Umiem — mruknął gruby Wojtek — ale...

— I ja umiem — stęknął błękitny — ale...

I znowu zwrócił wzrok na prawo a drugi na lewo i jęknęli obydwaj.

— Głupie jakieś dzieci zauważył z przypiecka gospodarz, nakładając fajkę, a żona jego wypytywała dalej:

— No śmiało, powiedzcie chłopcy czego wam brakuje?

— Hm — i błękitny spojrzał ukradkiem na grubego a gruby podobnie na błękitnego Wojtka, aż obydwaj razem chórem zeznali:

— Jesteśmy wrogami!

— Czem jesteście? — spytała znowu gospodyni.

— Wrogami — odrzekli obaj nieśmiało.

Stara uważnie spojrzała na nich dobremi, jasnemi oczyma i spytała znowu:

— Dlaczegóż to?

Gdyby chłopcy nie byli już wyglądali jak gotowane raki, z pewnością byliby się zarumienili. Więc tylko jeden odpowiedział nieśmiało:

— Nie wiem! — a drugi dodał taksamo:

— I ja też nie wiem!

— Do licha! nie widziałem nigdy tak dziwnych dzieci — mruczał gospodarz:

— Wrogami są, a nie wiedzą dlaczego.

Stara gospodyni ogarnęła chłopców pogodnem spojrzeniem i spytała poważnie:

— Czy to bardzo przyjemnie mieć wroga?

— Nie! — rzekli chłopcy patrząc na siebie z pod oka.

Stara wstała, przyniosła znowu dwa garnki bzowych ziółek i rzekła:

— Wypijcie, a gdy skończycie potrąćcie się garnuszkami!

Zwykle robi się to pełną szklanką, ale wy byście mi pewno pochlapali

łóżko, więc trącicie się po wypiciu. Tak chłopcy, ale na tem skończy się wasza nieprzyjaźń, dobrze?

— Dobrze — pokornie odrzekli chłopcy, odważnie wypili ziółka, pomimo, że byli już jak wyparzeni. Rzeczywiście trącili się próżnemi kubkami i czy wskutek gorących ziółek, czy dobrotliwego tonu gospodyni, cała sprawa wydała im się nagle tak dziwaczną, że obaj parsknęli śmiechem!

Potrącali się raz za razem i rozdziczyli się tak bardzo, że nagle ogromna ich pierzyna wyleciała na środek izby.

— Uważajcie na ciepło! Nie wypuszczajcie ciepła z łóżka! — wołała troskliwa staruszka, okrywając ich znowu:

— Leżcie spokojnie, wypoćcie się, a jutro będziecie zdrowi jak rybki.

Po tej uwadze przyniosła sobie czerwoną pończochę, którą robiła na drutach, usiadła z nią przy łóżku i poczęła zabawiać bajką niespodziewanych gości. Duży zegar tykał na ścianie, od czasu do czasu skrzypiało w nim, jakgdyby i on miał coś do powiedzenia. Gospodarz siedział na przypiecku, pykał fajeczkę, a obok niego rozłożył się mrucząc rozkosznie duży, czarny kot.

Druty starej dźwięczały jakby też chciały opowiadać, a im szybciej gospodyni mówiła, tem prędzej one dzwoniły, pomagały jej widocznie.

W izbie było coraz goręcej, piec tak się rozgrzał, że żar buchał od niego. Chłopcom też było coraz cieplej, pocili się jak dwa imbryki wrzątku. Stopniowo stawało im się coraz przyjaźniej na duszy. Zapomnieli o swarach i o przekorze.

Gruby Wojtek przyglądał się uważnie niedawnemu wrogowi, w końcu przytulił się do niego, a błękitny Wojtek objął go ramieniem.

Głos staruszki stawał się coraz cichszy. Dzwonienie drutów zaledwie można było dosłyszeć. Wkońcu gospodyni zamilkła. W wysokich jej piernatach chrapało na wyścigi dwoje dzieci, a niebawem i z przypiecka rozległo się chrapanie gospodarza.

Gdy się chłopcy rano przebudzili, byli zdrowi, jak rybki, oczy śmiały im się figlarnie i żaden z nich nie miał nawet kataru. Obudzili się przyjaciółmi i zostali już nimi po dziś dzień.

Rozwiązanie zagadek z nr. 1.

Zagadka: *potop.*

Łamigłówka: *Stanisław Konarski, Komisja Edukacyjna.*

Łamigłówka

nadesłana przez S. Sp.

Wyrazy składają się naprzemian z 3 i z 4 liter a końcowe litery tych wyrazów z góry na dół tworzą imię i nazwisko powieściopisarza.

1. . . . zaimek,
2. . . . . na wodzie,
3. . . . roślina,
4. . . . . inaczej związek,
5. . . . inaczej zabawy,
6. . . . . ptak,
7. . . . zbiór drzew,
8. . . . . zaimek,
9. . . . pytanie,
10. . . . . słowo w modlitwie,
11. . . . drzewo,
12. . . . . inaczej błyszczy,
13. . . . spójnik,
14. . . . . płyn utrzymujący życie,
15. . . . zaimek,
16. . . . . inaczej zgromadzenie,
17. . . . inaczej nabrzmienie.

Szarada

nadesłana przez J. B.

Trzecie wstecz, — gdy kupujecie,
To bardzo ryzykujecie.
Czwarte — znajdziecie w alfabecie,
Jeśli poszukać chcecie.
Pierwsze, drugie — to dwa połączone,
A całość — oznacza przed słońcem osłonę.

Trafne rozwiązania zagadek nadesłali:

Lwów: L. Menkerówna, Knoblochówna, Merklówna, Soklerówna, Holzma, nówna, Baunerówna, Hirschówna, Bendel, Wernerowie, Barasch, Heller, Preminger, Salz, Buchbinder, Misch, Weinbaum, Karg, Halpern, Zimandowie, Olmutz, Sibert, Wurzel, Juda, Land, Tannenbaum, Herzberg, Weiss, Imberowie, Sternbach, Engelberg, Donner, Weitzowie, Goldhaber, Kosiner, Frieselówna, Zimmermanówna, Rothlerówna, Jagidówna, Langinger, Ekstein, Brummer, Grussówna, Rothenberg, Wilczkówna, Walesch, Seeman, Wernerowie, Kelner, Ander, Roth, Haschnuss, Massówna, Feierring, Zipper, Hit el, Herman, Pechner, Pollak, Klahr, Kauf, Lewin, Bürst, Korman. Weiss, Körner, Haberkorn, Schreiber, Amster, Scbneegurt, Kaminer, Wolf, Kram,

Bund, Thur, Landesowie, Kahane, Spindel, Horngrad, Klang. **Kraków:** Birn, Herschthalówna, Sternschussówna, B rtówna, Weiser, Glas, Monderer. **Nowy Sącz:** Offenbergerówna. **Warszawa:** Stückgold, Bibrowski, Klang, Werner, Kleist, Józefów-(C. d. nastąpi w następn. numerze).

Od Redakcji.

„Nasza Jutrzenka" wychodzić będzie obecnie częściej z powodu ustalenia się ceny druku i papieru.

Prosimy o rychłe przesłanie zaległej prenumeraty jakoteż należytości za numer bieżący. Konto czekowe P. K. O. 149.547.

„NASZA JUTRZENKA" **jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.**

Numer pojedynczy 400.000 Mkp., z przesyłką 480.000. Konto czekowe P. K. O. Nr. 149.547

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, ul. Janowska 26.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.** Z drukarni Polskiej we Lwowie. pod zarządem Z. Kiełbusiewicza.